

# Jedna niezbędna prywatyzacja

27 kwietnia 2009

Kiedy warto poprzeć prywatyzację? Gdy państwowa własność służy promowaniu ideologii wolnorynkowej.

Od kilku miesięcy trwają przymiarki do sprzedaży państwowych udziałów w dzienniku „Rzeczpospolita”, a właściwie w Przedsiębiorstwie Wydawniczym Rzeczpospolita, które jako mniejszościowy udziałowiec spółki Presspublica wydaje oprócz tego czasopisma jeszcze dzienniki „Parkiet” i „Życie Warszawy” oraz zajmuje się pomniejszą działalnością wydawniczo-handlową. Dziś Skarb Państwa posiada 49% udziałów w PWR. W chwili obecnej zaawansowane są prace nad ich sprzedażą prywatnemu podmiotowi – wstępnie zaakceptowano oferty dwóch chętnych na zakup mniejszościowego pakietu, z którego państwo chce się pozbyć 85% udziałów.

Jestem zwolennikiem tej prywatyzacji, mimo iż zazwyczaj sceptycznie lub wręcz negatywnie oceniam sprzedaż mienia publicznego i pozbywanie się przez państwo kontroli nad kolejnymi podmiotami, które dotychczas stanowiły narzędzie jego polityki w jakiejś istotnej dziedzinie życia. Są takie sytuacje, gdy nawet „etatysta” i przeciwnik urynkowienia czego się da, uważa, że sprywatyzowanie jakiegoś podmiotu będzie lepszym rozwiązaniem.

Obecna sytuacja związana z „Rzepą” jest bowiem absurdalna. Państwo posiada niemal połowę udziałów w tej gazecie, a w dodatku „zapewnia” jej znaczną część czytelników i dochodów. Formuła gazety „państwowej”, przez lata zamieszczającej jako jedyna istotne informacje formalno-prawno-instytucjonalne, przekłada się wprost na sprzedaż czasopisma. Przy sprzedaży na poziomie 130-150 tys. egz. każdego numeru, około 95-100 tysięcy nabywców gazety stanowią instytucje i firmy. Czyli na „naprawdę” wolnym rynku po „Rzepę” sięga jakieś 30-50 tysięcy osób (co oznacza, że chyba tylko „Trybuna” ma wśród dzienników

niższą sprzedaż). A mimo to spośród dużych ogólnopolskich dzienników właśnie ten najmocniej promuje wolny rynek. Poza sporadycznymi artykułami autorów „z zewnątrz”, gros komentatorów i publicystów „Rzepy” forsuje liberalne, nierzadko skrajnie, poglądy w kwestiach gospodarczych. Równie dobrze państwo mogłoby zatem zostać udziałowcem i „promotorem” czasopisma anarchistycznego, które wzywa do likwidacji owego państwa.

Oczywiście sprawa prywatyzacji „Rzeczpospolitej” ma, jak wszystko w Polsce, wymiar skrajnie upolityczniony. Po objęciu stanowiska redaktora naczelnego przez Pawła Lisickiego, dziennik ten coraz bardziej ewoluował w kierunku konserwatywno-liberalnym, tzn. konserwatywnym w sferze kulturowej i liberalnym w kwestiach gospodarczych. Nic dziwnego, że z takim profilem i doбором autorów, „Rzeka” postrzegana jest jako pismo „pisowskie” – jeśli nie wprost wspierające Prawo i Sprawiedliwość, to przynajmniej spośród dzienników najbardziej przychylnie temu ugrupowaniu. Dlatego też prywatyzacja PWR traktowana jest przez wiele środowisk – „pisowskich” i „antypisowskich” – jako posunięcie, które sprawi, iż rząd PO wytraci swemu konkurentowi prasowy oręż z ręki. To z kolei u sympatyków PiS-u skutkuje protestami przeciwko „zamachowi” na „niezależną prasę”. Oczywiście daleko posuniętą naiwnością byłoby nie branie pod uwagę scenariusza polityczno-pragmatycznego, wedle którego ekipa Tuska faktycznie zamyka usta czasopismu przychylnemu swemu najgroźniejszemu przeciwnikowi. Ale nie to stanowi sedno problemu. „Rzeka” należy sprzedać – obojętnie, czy zrobi to obecny rząd, czy któryś z kolejnych.

Nie wiem, czy flagowy okręt firmy PWR jest „pisowski”. Czytam „Rzeka” regularnie i oczywiście postrzegam ją jako bliską ideowo PiS-owi, aczkolwiek nie posunąłbym się do twierdzenia, że stanowi ona nieformalny organ partyjny. Co więcej, uważam, że jest to dziennik dobry. Jego linię konserwatywno-liberalną „skonstruowano” na przyzwoitym poziomie, a liczne

„pozapolityczne” teksty i działy sprawiają, że sięgam po to pismo bez poczucia odrazy, mimo że moje poglądy są niemal przeciwieństwem opcji konserwatywno-liberalnej. Nie zmienia to faktu, że obecna „Rzeczpospolita” – wyraźnie sprofilowana ideowo – nie powinna być w żadnej mierze powiązana własnościowo z państwem.

Po pierwsze, liberalne „przebiegnięcie” w kwestii poglądów na tematy gospodarcze nie powinno odbywać się w oparciu o państwowe mienie. Dlatego choćby, że jeśli ktoś wielbi wolny rynek i ograniczoną rolę państwa w gospodarce, to w imię elementarnej zgodności poglądów z postępowaniem, powinien taką gazetę wydawać całkowicie prywatnie. Ale także dlatego, że ideologia neoliberalna ma niewiele wspólnego z troską o państwo i jego kondycję. Nie miejsce tu na rozważania o różnych aspektach liberalizmu gospodarczego – nawet gdyby przyjąć, że jest on, w co bardzo wątpię, optymalny z punktu widzenia interesów społecznych, to jednocześnie ideologia ta wprost godzi w etos państwowy. Neoliberalowie zajmują się głównie krytyką rozmaitych funkcji państwa – nie tylko faktycznych błędów tego, co Amerykanie nazywają „wielkim rządem”, ale podważaniem sensu samej aktywności państwa i jego agend. Państwo jest złe, państwo się wtrąca, państwo jest niesprawne, państwo jest niepotrzebne – to neoliberalna mantra. Doprawdy, trudno o większy absurd niż taki właśnie profil ideowy gazety postrzeganej jako „państwowa”.

Po drugie, o ile trudno od prywatnych gazet domagać się owego sloganowego „pluralizmu opinii” albo zarzucać im „wybiórczość” (w „Obywatelu” nie promujemy neoliberalów czy lewicy feministyczno-gejowskiej i jest to nasze dobre prawo) – bo niby czemu ktoś miałby za własne pieniądze prezentować poglądy, których nie podziela – o tyle od gazety „państwowej” mamy pełne prawo oczekiwać, że będzie na równych zasadach przedstawiała poglądy, wizje i pomysły jak najszerszego spektrum ideowo-politycznego. Z tego też względu wyżej ceniłem „Rzecz” sprzed „epoki Lisickiego” – była wówczas bowiem

znacznie bardziej różnorodna ideowo i środowiskowo niż np. „Gazeta Wyborcza”. Gdyby ewoluowała ona jeszcze bardziej w takim kierunku, byłbym przeciwny prywatyzacji czasopisma. Jeśli natomiast „państwowy” dziennik ma forsować linię konserwatywno-liberalną, a pluralizm rozumieć tak, że na każdych dziesięć komentarzy Ziemkiewicza przypada jeden autorstwa dyżurnego lewicowca Sierakowskiego, a na pięć artykułów Wildsteina – jeden równie dyżurnej Magdaleny Środy, to taka farsa nie powinna być w żaden sposób kojarzona z państwem i wspierana przez nie.

Taką „Rzepę” trzeba sprzedać – i to całość państwowych udziałów. Niech prywatny właściciel decyduje, czy utrzymać obecną ekipę redaktorów i dziennikarzy oraz profil pisma, czy też dokonać personalnego i ideowego zwrotu, choćby o 180 stopni. Na własną odpowiedzialność i ryzyko. Niech sprywatyzowana „Rzepa” głosi dowolne poglądy, choćby najbardziej skrajnie liberalne gospodarczo. Ale niech nie kojarzy się ani trochę z państwem. Bo państwo to my, wszyscy obywatele, z lewa, prawa i z centrum, skrajni i umiarkowani, filo- i antykomunistyczni, socjaliści i libertarianie, „aborterzy” i „obrońcy życia”, tradycyjni katolicy i żydowscy postmoderniści, geje i ojcowie wielodzietnych rodzin, sympatycy Michnika i Macierewicza, itd., itp.

Sprzedaż „Rzepy” to jedyny realny dziś scenariusz. Ale jest jeszcze scenariusz inny, idealny, czyli zapewne niemożliwy do realizacji. Alternatywą wobec prywatyzacji byłoby utrzymanie kontroli państwa nad dziennikiem, wykupienie z rąk prywatnego udziałowca większościowego jego aktywów, a następnie taka zmiana profilu pisma, aby służyło ono interesowi państwa i obywateli. Taka „Rzepa”, zamiast ścigać się z innymi dziennikami o to, kto pierwszy ujawni tajnego współpracownika SB albo zaprezentuje dekollet kochanki ex-premiera, mogłaby stać się forum debaty o państwie. Mogłaby zarówno rządowi, jak i opozycji umożliwiać rzeczową dyskusję o konkretnych problemach – rzeczową, czyli pozbawioną tabloidowych pyskówek i PR-owych

zagrywek. Mogłaby rzetelnie przedstawiać realia tej Polski – Polski prowincjonalnej – która w mediach nie gości wcale lub jedynie jako migawkowa ciekawostka na kształt relacji z egzotycznej krainy. Mogłaby tłumaczyć czytelnikom-obywatelom, jak są wydawane budżetowe środki i ile jest prawdy w liberalnej propagandzie o marnotrawstwie np. ZUS-u, który „pożera” na własne koszty mniejszą część naszych składek niż czynią to prywatne OFE. Mogłaby prezentować masowemu czytelnikowi mało znane ciekawe inicjatywy i idee, nie zaś – jak dzisiaj – po znajomości recenzować niszowe prawicowe periodyki. Mogłaby umożliwić debatę nie zawodowym politykom, medialnym „ekspertom” i „spin-doktorom”, lecz np. działaczom społecznym, ludziom kultury (niekoniecznie tym z „warszawki”) czy faktycznym fachowcom z istotnych dziedzin życia, dziś zepchniętym na forum niszowych konferencji, na łamy niewielkich czasopism lub w najlepszym razie do 10-sekundowych migawek telewizyjnych czy radiowych „debat”, podczas których wszyscy się przekrzykują. Mogłaby też taka nowa, państwowa „Rzeka” służyć debacie ideowej – ale takiej, w której biorą udział przeróżne środowiska i ich odłamy: jeśli prawica, to nie tylko konserwatywny liberał Ziemkiewicz, ale także zwolennik katolickiej nauki społecznej czy krytyk kapitalizmu z pozycji podobnych do Chestertona; jeśli lewica, to nie tylko Sierakowski, ale także radykał-marksista Ikonowicz czy ktoś spod znaku antykomunistycznego etosu emigracyjnego PPS-u.

Taka „Rzeka” miałaby sens jako pismo „państwowe”. Obecna sensu nie ma, niech więc zostanie sprzedana. Niech wolny rynek nas wyzwoli – chociaż raz skutecznie i sensownie.

Autor: Remigiusz Ochraska

Źródło: [Obywatel](#)